

Zabytki TO TWOJE
DZIEDZICTWO
nie pozwól niszczyć
reaguj



Marta Guzowska, Leszek Talko

Pierścień czarownicy

www.zabytki-reaguj.nid.pl

Był ledwo wtorek, a czułem się, jakby był już piątek. Choć w sumie nie miało to większego znaczenia. Wy może czekacie na sobotę, żeby spędzić ją jak wszyscy: w kolejce w centrum handlowym, albo na placu zabaw, głuchnąc od krzyków. Ja zwykle spędzam soboty w pracy, tyle że na callu. Siedzę sobie w domu i opieprzam ludzi na odległość. Robota jak każda inna, nawet dobrze płatna.

Nie ma się nad czym rozwodzić, opowiadam wam o tym tylko dlatego, żebyście wiedzieli, że akurat nie nadażalem ze wszystkim. Nawet z opieprzaniem można nie nadażać, jeśli ma się pod sobą dużo kandydatów do opieprzania. A ja miałem.

No więc to był czysty przypadek. Tak, też czytałem te wszystkie opowiadania i widziałem te wszystkie filmy, w których bohater mówi: gdybym wiedział, co się stanie, gdy wsiądę do tego autobusu, albo gdy wejdę do tego sklepu, nigdy bym tego nie zrobił. Widzowie siadają wygodniej i myślą sobie: a to kretyn, w życiu nie wszedłbym do tego zaprzyętego sklepiku, tam wszystko może się zdarzyć. Może się czaić masowy morderca, przybysz z kosmosu albo goblin.

Ale sami powiedzcie: co może się zdarzyć, kiedy kupujecie przedmiot na aukcji internetowej? Paczka się spóźni i lego dla dziecka przyjdzie po świętach? Stłucze się lampa? W ostateczności zamiast komputera przyjdzie cegła, ale to już nie te czasy, teraz już wprowadzili bezpieczne zakupy.

Więc nie, nic nie zaświtało mi w głowie, nie zapaliła się czerwona lampka i nie możecie powiedzieć: ale się kretyn wpakował na własne życzenie.

Od początku: wyszedłem z gabinetu na szybkiego papierosa. Patryk z logistyki rzucił, przechodząc: pamiętasz o imprezie u Beaty? Ja machnąłem ręką, że jasne, pamiętam. Chociaż, rzecz jasna, na śmierć zapomniałem. Beata w sobotę zapraszała na swoją czterdziestkę. Żartowała, że chce razem z nami przejść w smugę cienia, ale oczywiście nie zgadlibyście, że zamierza gdzieś przechodzić. Świetnie się trzyma, zwłaszcza od kiedy rozwiodła się z mężem i jej kariera wystrzeliła w kosmos. Mieszka w apartamencie na Mokotowie, jeździ złotym mini morrisem i wyskakuje na weekendy z jogą do Indii, więc sami rozumiecie – trudno ją zaskoczyć prezentem.

Wystukałem na komórce „aukcje internetowe”. Nawet nie wiedziałem, czego szukać. Spróbowałem „niezwykły prezent”. Nie uwierzycie, ile dostałem odpowiedzi. Tysiące. Szkoda tylko, że większość to były koszulki „z wybranym przez ciebie napisem” albo kubki. Już widzę minę Beaty, kiedy dostaje kubek z napisem „szefowej z piekła rodem – zespół”. Bo Beata na co dzień jest całkiem normalna, ale ma hopla na punkcie czarownic, przepowiedni i horrorów. Ale ma też drugiego hopla: uwielbia być oryginalna i dostawać niezwykle rzeczy. I uwierzcie mi, nie chcielibyście wręczyć jej zwykłego kubka. Uśmiechnęłaby się, podziękowała, postawiła go na półce, ale wasze dalsze losy w firmie nie potoczyłyby się jak w bajce. Rozumiecie więc, że kiedy zobaczyłem tę aukcję, natychmiast kliknąłem, a potem jeszcze raz i jeszcze raz – włożyłem do koszyka, kup teraz, zapłać, zrobione.

Byłem z siebie tak dumny, że nawet zapomniałem zapalić tego papierosa.

„Srebrny pierścień z grobu czarownicy, oryginał, jedyny taki, na prezent”.

*

Dzwoniłem do gościa z ogłoszenia z dziesięć razy. „Velleman”, pod takim nickiem sprzedawał na aukcjach. Wtedy nie wiedziałem, że to nazwa profesjonalnego wykrywacza metalu, skojarzyło mi się raczej z nordyckim wojownikiem. Velleman mieszkał w Brwinowie, to rzut kamieniem z Warszawy. Pomyślałem, że to się nawet dobrze składa, że podskoczę sam odebrać ten pierścień. Nie chciałem, żeby się gdzieś zagubił przez logistykę, ale przede wszystkim miałem nadzieję, że naciągnę Vellemana na krwistą opowieść o poszukiwaniu skarbów i będę mógł jeszcze bardziej oszłotoić Beatę. Prezent z historią. I z duszą. Pierścień z grobu czarownicy.

„Pierścień wykopany z grobu autentycznej czarownicy żyjącej 600 lat temu. Gwarantowana autentyczność, obiekt pochodzi prosto z grobu. Nie wysyłam za granicę. Dostępne również inne obiekty z tego samego grobu”.

I tyle. Do tego tylko dwa zdjęcia. Na pierwszym pierścień leżący na jakiejś chustce. Drugie zdjęcie było ciekawsze: późne popołudnie, las, dziura wykopana w ziemi. Powiększyłem je, jak bardzo mogłem i wydawało mi się, że dostrzegam w dziurze kości, ale to była chyba tylko moja wyobraźnia. Właściwie to mogła być dowolna dziura. Tylko dorysowana na zdjęciu czerwona strzałka wskazywała coś błyszczącego. Zapewne właśnie pierścień, ale gdyby to był klucz francuski, też bym uwierzył.

Tak czy inaczej, postanowiłem pojechać do tego Vellemana i wypytać go o czarownicę. Tylko że facet był chyba strasznie zajęty. W słuchawce wciąż słyszałem albo „abonent prowadzi inną rozmowę” albo głuchą ciszę. W końcu nagrałem mu się i wysłałem jeszcze SMS-a z prośbą o kontakt i odbiór osobisty.

Odpowiedział dopiero wieczorem, telefon piknął przed północą. „Stacja Metra Świętokrzyska, godzina osiemnasta, wyjście przy Królewskiej”. Sami widzicie: żadnych podejrzanych zaułków. Nie może powiedzieć: no kto się umawia w ciemnej uliczce bez świadków, gość sam był sobie winien.

Świadków miałem kilka tysięcy, ale co z tego.

*

Byłem dziesięć minut przed czasem, moje korpo jest na Grzybowskiej, może pięć minut spacerkiem. Chyba w głębi duszy spodziewałem się, że facet, który handluje pierścieniami czarownic sprzed stuleci, będzie przypominał profesora Dumbledore'a, albo dystyngowanego antykwariusza w garniturze. A może Indianę Jonesa w skórzanej kurtce? Nic z tych rzeczy. Velleman miał ze dwa metry wzrostu i jakieś dziesięć lat mniej ode mnie. Cały był ubrany w moro: buty, spodnie i koszulkę w ochronne plamy. Wielki, zwalisty, z bicepsami prężącymi się pod ubraniem. Taki facet nie bałby się wejść w ciemną uliczkę. Ale tutaj, w tłumie, sprawiał wrażenie nieufnego, nawet zagubionego. Prawie podskoczył, kiedy go dotknąłem i się przedstawiłem. A przecież był wyższy o głowę.

– Jakub Zimny – powtórzyłem. – Od tej aukcji „pierścień czarownicy”. Autentyczny – podkreśliłem. Choć powiedzmy sobie szczerze, gdyby był nieprawdziwy, w życiu bym się nie zorientował. Nie miałem nawet pojęcia, czy naprawdę jest zrobiony ze srebra. Jak mówiłem: chciałem kupić nie tylko pierścień, chciałem kupić tę historię. A tak naprawdę to chciałem kupić zainteresowanie w oczach Beaty.

– Jasne, jasne. – Velleman chrząknął i ogarnął mnie spojrzeniem. Oczy miał podkrążone, na twarzy kilkuniedniowy zarost, a włosy najwyraźniej od kilku dni pozbawione kontaktu z szamponem i wodą. – Naprawdę chce pan ten pierścień?

Wzruszyłem ramionami, uznając, że facet robi sobie jaja. Kupiłem, zapłaciłem, przyszedłem na stację po odbiór – co to może oznaczać? Że nie chcę?

– Chciałbym też, żeby powiedział pan o nim kilka słów – wyjaśniłem.

– Tak jak w opisie – mruknął. Spojrzał na mnie z ukosa, jakbym zapytał go, czy uprawia seks na pierwszej randce.

– Czytałem. Ale może dorzuciłby pan kilka szczegółów?

Zjeżył się.

– Po co?

Zagryzłem wargi. Zaczął mnie irytować, ale z drugiej strony może po prostu nie chciał zdradzić miejsca znaleziska? W sumie mogłem to zrozumieć. Co to byłoby dla niego za interes, gdyby zaroilo się tam od poszukiwaczy. Podobnie zachowują się grzybiarze, gdy ich zapytać, gdzie znaleźli te kosze grzybów. Żaden nie powie.

– Nie interesuje mnie dokładne miejsce, tylko legenda, historia. Skąd wiadomo, że właścicielka była czarownicą?

– No raczej była! – Velleman prychnął i rozejrzał się na boki. Może sądził, że czarownica wpadnie między nas i odbierze swoją własność. – Jak myślisz, komu by ludzie pętali ręce i nogi srebrnymi kajdanami, a na gardło kładli sierp?

– Sierp? – zdziwiłem się.

– Sierp – potwierdził całkiem poważnie i zobaczyłem w jego oczach, że nie żartuje.

– Po co sierp? – zapytałem.

Machnął niecierpliwie ręką, jakbym pytał go, po co na stacji metra schody ruchome.

– Żeby odcięła sobie głowę, kiedy będzie wstawiała z umarłych – wyjaśnił.

Roześmiałem się, ale on pozostał poważny. Chrząknąłem.

– Ma pan te kajdany? Albo ten sierp?

Skinął głową, wciąż lustrując przechodzących ludzi. Była godzina szczytu, więc przewijał się tłum, zastanawiałem się, kogo zamierza wypatrzeć.

– Kajdany mam. Sierp... został.

– A mógłbym je zobaczyć? – zaryzykowałem pytanie. Pomyślałem, że srebrne kajdany znalezione w grobie czarownicy to jeszcze lepsza historia niż pierścień. Beata oszalałaby ze szczęścia. No, oczywiście, gdyby było mnie na nie stać. Nie miałem pojęcia, ile facet może sobie zażyczyć za takie znalezisko.

A Velleman nagle jakby się otrząsnął.

– Chciałby je pan? – zapytał z wahaniem w głosie. I jakby z nadzieją.

– No czemu nie. – Wzruszyłem ramionami. – Oczywiście, jeśli dogadamy się co do ceny.

– Oczywiście, oczywiście. – Nagle jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. W sumie był całkiem sympatyczny. – Wyjeżdżam teraz, nie będzie mnie do soboty, ale potem...

– To się świetnie składa. – Wpadłem mu w słowo. – Możemy umówić się w niedzielę. Wpadnę do pana. Oczywiście, jeśli to panu nie będzie przeszkadzać – zastrzegłem od razu.

– Mieszkam pod Warszawą. Zapiszę panu adres.

Machnął coś na kawałku papieru. Więc nie powiedziałem, że adres już znam, z maila od serwisu aukcyjnego.

– Muszę już iść, ale proszę pamiętać, obiecał pan.

Skinąłem głową. Patrzyłem, jak odchodzi. Ruszył szybkim krokiem, który po chwili przemienił się w lekki trucht. Nagle skręcił w lewo i zniknął w korytarzu.

Pokręciłem głową i zerknąłem na pierścień, który wciąż trzymałem w zaciśniętej dłoni. Zmarszczyłem brwi, wydawało mi się, że widzę jakieś litery, ale nie byłem w stanie ich odcyfrować, a korytarz stacji metra to nie najlepsze miejsce na próby czytania dawnego pisma. Wrzuciłem torebkę z pierścieniem do kieszeni i wróciłem do biura. Urodziny zapowiadały się całkiem niezłe, a opowieść o czarownicy i kajdanach, które ją wiązały, zrobią furorę.

A ja miałem jeszcze jeden pomysł, jak dorobić do pierścienia interesującą historię.

*

Gabinet Stefanii Harker znajdował się na samym końcu korytarza Instytutu Archeologii, tuż za magazynem. Tym samym, w którym kiedyś, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, natknąłem się na pudło pełne czaszek, które śmiertelnie mnie wystraszyły.

Mama przyjaźniła się ze Stefanią i często u niej bywała, a ja się nudziłem i zwiedzałem sąsiednie pomieszczenia. Do tych czaszek potem zresztą często wracałem. Kiedy minął początkowy strach, zakradałem się tam i – wstyd przyznać – pisałem mazakiem na czerepach słowa zwykle spotykane na ścianach toalet. Wtedy, w podstawówce wydawało mi się

to niezwykle śmieszne.

Od lat tu nie zachodziłem i stąd pewnie wstrząs, który przeżyłem, kiedy Stefania Harker podniosła się zza swojego biurka. Nie była już czterdziestokilkuletnią, pełną energii kobietą, ale siwą staruszką ze zmarszczkami. Tylko żywe, jaskrawoniebieskie oczy przypominały osobę, którą znałem z dzieciństwa.

– No proszę, kogo tu przygnało! – Zaśmiała się krótko i energicznie potrząsnęła moją dłoń. To też się nie zmieniło. Witata się jak facet, prosto i zdecydowanie. I sposób bycia i rozmowy nadal miała prosty i zdecydowany, mimo upływu tylu lat. – Zakładam, że skoro wpadłeś po prawie trzydziestu latach, to nie chcesz tylko powiedzieć „cześć” i spytać, jak leci. Coś się stało? Ktoś umarł, czy masz sprawę? Mam nadzieję, że to drugie.

– Mam sprawę.

Wyłuszczyłem, w czym rzecz. Chciałem, żeby rzuciła okiem na pierścień i powiedziała, czy jest autentyczny. No i czy naprawdę mógł należeć do czarownicy.

– Hm – westchnęła. – Czyli kupiłeś kradzioną rzecz i prosisz mnie, żebym zbadła, czy jest prawdziwa. I stała się twoją współniczką.

– Ależ ciociu! – oburzyłem się. – Przecież ja tego nie ukradłem.

Uśmiechnęła się, kiedy nazwałem ją ciocią, jak lata temu.

– Kuba, spójrzmy prawdzie w oczy – westchnęła. – To równie dobrze może być jakaś produkowana w Chinach podróbka i prawdę mówiąc, mam nadzieję, że tak jest. Bo jeśli nie, to pierścień pochodzi z nielegalnych wykopalisk. A właściwie nie wykopalisk, tylko rabunkowych poszukiwań z użyciem wykrywacza metali. To prawdziwa plaga. I nazwijmy rzecz po imieniu – kradzież. A ty, kochany Kubusiu, nabywając rzecz pochodzącą z kradzieży, stajesz się paserem.

– Nic o tym nie wiem – zastrzegłem. – O żadnych nielegalnych wykopaliskach ani o poszukiwaniach z wykrywaczem.

– Ależ wiesz, kochany, wiesz. Tylko nie dopuszczasz do świadomości. Bo, Kubusiu, nawet w twojej korporacji pewnie wiedzą, że zabytków odkrytych podczas legalnych, naukowych wykopalisk nie sprzedają się na aukcjach internetowych.

– Westchnęła. – No pokaż go. Zobaczymy.

– Przecież ten cały Velleman niekoniecznie musiał go wykopać – mruknąłem. – Mógł... mógł..

– Znaleźć go na strychu? W piwnicy? Pod łóżkiem? Razem z czarownicą? – ironizowała Stefania. – Daj spokój. Pokaż mi to чудо.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem torebkę. Stefania zapaliła mocną lampę nad biurkiem i wyłuskała pierścień z folii. Przez długą chwilę milczała. Obracała pierścień w palcach i wpatrywała się w zdobiące go znaki.

– Podróbka? – zapytałem, sam nie wiedząc, na jaką odpowiedź liczę.

– Wygląda na prawdziwy. Średniowieczny. Ale trudno odcyfrować ten napis. Zostawiłbyś mi go na kilka dni?

– Właściwie to zamierzam go dać komuś w prezencie – wyznałem niechętnie. – Ona zbiera takie dziwaczne rzeczy. I ma urodziny w sobotę...

– Jak chcesz. – Stefania rozłożyła ręce. – Gdybyś mi go zostawił do jutra, mogłabym powiedzieć coś więcej. No a tak, to tylko tyle, że najprawdopodobniej autentyk, dwunasty, trzynasty wiek, prawdopodobnie import.

– No dobrze – skapitulowałem. – Wpadnę jutro. I ciociu...

– Tak? – zerknęła na mnie spod okularów.

– Dziękuję, że nie robisz afery, nie wzywasz policji archeologicznej i tak dalej – zaśmiałem się. Odpowiedziała uśmiechem, ale jej oczy pozostały poważne.

– Właściwie to powinnam. – Machnęła ręką. – Nielegalni poszukiwacze to prawdziwa plaga, ryją jak krety, a najgorsze jest to, że niszczą nieświadomie mnóstwo informacji, których już nigdy nie zrekonstruujemy.

– Wypytam tego całego Vellemana, może się sygnie i zdradzi miejsce – pocieszyłem ją.

– Nie liczyłabym na to – westchnęła i uśmiechnęła się do mnie.

Wiecie, w takim momencie autorzy często piszą: gdybym wiedział, że wtedy widziałem ją po raz ostatni... Zawsze wydawało mi się to strasznie tanim chwytem. Ale właśnie tak było. Wtedy widziałem Stefanię Harker ostatni raz.

*

W piątek telefon Stefanii nie odpowiadał. Ani komórka, ani stacjonarny na biurku. Pomyślałem, że wpadnę do niej po pracy. Zawsze siedziała do późna, a może wciąż ogląda pod lupą mój pierścień i nie ma głowy do odbierania telefonów? Krakowskie Przedmieście rozbrzyskało od niebieskich świateł policji i pogotowia. Wszedłem w bramę uniwersytetu, jeszcze bardziej zatłoczona niż zwykle. Wbiegłem po kilka stopni naraz na pierwsze piętro i ruszyłem korytarzem do gabinetu Stefanii.

– Styszałeś już? – Dłoń, która chwyciła mnie za ramię, miała pierścień na każdym palcu. Liliana (nie pamiętałem jej nazwiska, chociaż znaliśmy się już tyle lat, że mówiliśmy do siebie per ty) była sekretarką wydziału, na co dzień pogodną, tęgą pięćdziesięciolatką. Teraz trzęsała się jak w febrze. – Stefania... Stefania...

– Co z nią? – Strząsnąłem rękę.

– Taki straszny wypadek, podobno kierowca autobusu jej nie zauważył...

– Co z nią? – Potrząsnąłem Lilianą i – wstyd przyznać – miałem ochotę uderzyć ją w twarz, żeby się pozbierała.

– Ona nie żyje! Nie żyje! – Rozptakała się.

Możecie uznać, że jestem bez serca, ale jedyna myśl, jaka przyszła mi do głowy to było, czy Stefania miała ze sobą pierścień, czy go gdzieś zostawiła. A może cała prawda nie chciała lub nie mogła do mnie dotrzeć? Choć możliwe, że tak zależało mi na Beacie i jej olśnieniu, że reszta po prostu mnie nie obchodziła.

Wymknąłem się, obiecując Lilianie proszek od bólu głowy i szklankę wody. Stałem przed drzwiami gabinetu Stefanii. Zawahałem się przez moment, a potem nacisnąłem klamkę. Przecież nie robiłem nic złego. Chciałem tylko odzyskać swoją własność.

Leżał na biurku, od razu go zauważyłem. Lśnił, jakby jarzył się własnym światłem. Ale to oczywiście był tylko blask lampki odbijający się od metalu. Wrzuciłem pierścień do kieszeni i już odwróciłem się, by wyjść, ale zawahałem się i zbliżyłem do komputera. Wcisnąłem jakiś klawisz i wygaszacz ekranu zniknął, a na jego miejscu pojawił się tekst.

Pierścień czarownicy

Przedmiot przekazany przez anonimowego znalazcę (byłem wdzięczny Stefanii za dyskrecję).

Pierścień pochodzący najprawdopodobniej z nielegalnych wykopalisk, znaleziony w niezidentyfikowanym grobie. Zdobienia charakterystyczne dla późnego okresu piastowskiego. Na obrzeżu pierścienia widoczna dekoracja, najprawdopodobniej przedstawienie kozła lub barana oraz fragment napisu zbyt zatartego, żeby go odcyfrować, widoczne są tylko litery S, M, D.

Artefakt przypomina podobne znalezisko odkryte w czasie wykopalisk dr. Edwarda Rabego w Stachowie w roku 1988. Niestety przedmioty wykopane w czasie przeszukiwania cmentarzyska wczesnośredniowiecznego zostały zagubione. Na pierścieniu znalezionym przez doktora Rabego wyryte było słowo „Asmodeusz”, imię jednego z demonów. Na tej podstawie zakwalifikowano pierścień jako przedmiot kultowy, służący do czynności rytualnych, wróżenia, a także czynności magicznych.

Tu tekst się urywał, ale uznałem, że to i tak sporo. Wróciłem do Liliany i poczekaniem, aż tyknie proszki i trochę się uspokoi.

Kiedy wychodziłem, coś jeszcze przyszło mi do głowy.

– Czy doktor Rabe przypadkiem jeszcze tu pracuje?

Poniewczasie przyszło mi do głowy, że po tylu latach jest już pewnie profesorem.

– Doktor Rabe? – Liliana zdumiona podniosła na mnie oczy. – Przecież on nie żyje. Już od wielu lat...

Szkoda. Pożegnałem Lilianę, obiecując, że na pewno wpadnę na wieczór poświęcony pamięci Stefanii, choć tak naprawdę nie zamierzałem. Nie miałem ochoty wystuchiwać przemówień nudnych profesorów zachwyconych, że mogą przyciągnąć cudzą uwagę.

W drodze do domu przejechałem przez centrum handlowe w poszukiwaniu opakowania dla prezentu. Oczywiście zwykłe pudełko nie wchodziło w rachubę. W końcu zdecydowałem się na małą czerwoną trumienkę, dekorację na Halloween. Ja znalazłem dla niej lepsze zastosowanie.

Dopiero w domu miałem czas zastanowić się nad tym wszystkim. Nie mam zamiaru udawać, że śmierć Stefanii wstrząsnęła mną bardziej niż pierwszy z brzegu wypadek, o którym słyży się w wiadomościach. W końcu pamiętałem ją głównie jako dziecko. A jednak ta śmierć zasiała we mnie trudny do wytłumaczenia niepokój, którego nie zdołały stłumić ani kolejne dwa kieliszki wina, ani serial puszczone z Netflixa.

Kiedy zadzwonił telefon, prawie podskoczyłem z wrażenia. Ale to była Liliana.

– Kuba, bo ja ci muszę jeszcze coś powiedzieć...

Jej głos brzmiał, jakby wypita co najmniej dwa razy tyle wina, co ja. Ale w końcu trudno się jej było dziwić, Stefanię widywała na co dzień, to musiał być straszny szok.

– Kuba, uważaj na siebie.

– Uważam, Liliano, uważam – zapewniłem ją poważnie. – Trzymasz się jakoś?

– Ale Kuba naprawdę uważaj, bo... bo...

– Wiem, zawsze patrzę w lewo, potem w prawo i potem jeszcze raz w lewo, zanim wejdę na pasy – zażartowałem i pomyślałem, że źle to zabrzmiało. Jakby Stefania sama sobie była winna.

– Ona mówiła, że ten pierścień... że nie można bezkarnie wygrzebywać takich rzeczy.

Stefania Harker powiedziała jej o pierścieniu! Sekretarce! I najwyraźniej wygadała się też, że to ja go przyniosłem.

Podobno o martwych nie należy źle mówić ani myśleć, ale w tamtej chwili pomyślałem o Stefanii naprawdę paskudne rzeczy.

Potem wziąłem się w garść. Kupiłem pierścień na legalnej aukcji dużego serwisu internetowego. To jeszcze nie przestępstwo. A jeśli przestępstwem było nielegalne wykopywanie przedmiotów za pomocą wykrywacza metali, to nie ja je popełniłem.

– Tak – westchnąłem. – Nie tylko kradzież, ale na dodatek pozbawia naukowców cennych danych. Stefania już mi opowiedziała, jak takie poszukiwania wyglądają z punktu widzenia archeologów i jak bardzo utrudnia to ich pracę, o zubożeniu kultury i zbiorów nie wspominając. Ale co poradzę, sam tego łopata nie wykopałem.

To ostatnie zdanie wypowiedziałem z naciskiem, żeby dobrze zapamiętała.

– Kuba, uważaj na siebie – powtórzyła Liliana. – Stefania ostrzegęła przed...

Czekaniem cierpliwie, ale nie doczekałem się ciągu dalszego.

– Ten Rabe, pytałeś o niego – zaczęła Liliana po chwili milczenia. – Pewnie nie wiesz, ale kiedyś byliśmy blisko. Ja studiowałam, a on był dziesięć lat starszy. Prowadził już własne wykopaliska...

Zamilkła.

Poczułem się trochę niezręcznie. Potem będzie żałować, że opowiada mi takie rzeczy po pijaku.

– Stuchaj, dziś był ciężki dzień. Prześpij się.

– Edward bał się wody – mówiła dalej, jakby mnie nie słyszała. – Panicznie bał się wody. Bał się każdego zbiornika wodnego większego od wanny. Więc kiedy się dowiedziałam, że utonął w jeziorze...

– Liliano...

– Kuba, on coś znalazł. Taki pierścień, podobny do tego, który przyniósł Stefani.

– Liliano, ja go kupiłem. To nie jest nielegalne. – Naprawdę zależało mi, żeby ta informacja utkwiła jej w głowie. Na wypadek, gdyby ktoś wypytywał. – Na normalnym serwisie aukcyjnym. Nie myślisz, chyba że rozkopuję po nocy cmentarzyska.

Żart znowu mi nie wyszedł, ale miałem to gdzieś. A Liliana i tak nie zwróciła na to uwagi.

– Nawet żartował, że jak mi się oświadczy, to wtedy mi go da. Oczywiście w życiu by tego nie zrobił. Mam na myśli pierścionek, bo oświadczyć się chciał. Opowiadał mi, że znaleźli go w bardzo ciekawym grobie. Pochowano w nim jakąś ważną kobietę. Wiem, co myślisz – wtrąciła, zanim zdążyłem coś powiedzieć. – Ale ja nie jestem pijana, jeszcze nie. Opowiadam ci po prostu to, co on mi wtedy powiedział. Był taki podekscytowany tym odkryciem. Te srebrne łańcuchy, którymi była splekana...

– Zaraz. Zaraz, zaraz, zaraz. Powiedziałaś: srebrne łańcuchy?

– Edek podejrzewał, że to czarownica albo wampir. To znaczy, że jej współcześni tak podejrzewali i chcieli się zabezpieczyć, żeby po śmierci nie wróciła. I miała pierścień. Edek strasznie chciał odcyfrować napis, siedział do nocy. W końcu stwierdził, że to imię demona i żartował, że miejscowi do dziś się boją tam nogę postawić, tam, gdzie oni złożyli te wykopy. Zaśmiewaliśmy się razem, a potem... Mówili, że pewnie chciał się ochłodzić, ale ja wiem, że to niemożliwe.

– A co się stało z tamtym pierścieniem? I kajdanami? – zapytałem niecierpliwie.

– Kuba, ty po prostu na siebie uważaj.

– Co się z nimi stało?! – Mimowolnie podniosłem głos.

– Nie wiadomo. Nigdy nie znaleziono złodzieja. Po prostu uważaj na siebie, Kuba.

I wtedy rozległ się odgłos, który dopiero po chwili zidentyfikowałem jako beknienie.

– Będę uważał Liliano – obiecałem.

I rozłączyłem się, szczęśliwy. Miałem świetną historię dla Beaty.

*

W sobotę spałem do jedenastej. Miałem iść na siłownię, potem pojeździć na rowerze, ale wyszło jak zwykle. Gdybym sam płacił za tę siłkę, zapłakałbym się na śmierć. Na szczęście płaciła korpo, ale i tak moje plany zrobienia sześciopaków odsuwały się w bliżej nieokreślonej przyszłość.

Wyskoczyłem do Galerii Mokotów kupić jakąś koszulę. Czuję, że potrzebuję szalonej, ale jednak eleganckiej. Złaziłem prawie wszystkie sklepy, zanim taką zdobyłem – w dodatku na przecenie: w meksykańskie wzory i dia los muertos.

Beata mieszkała w starej kamienicy przy Narbutta. Powiniście zobaczyć windę w jej klatce schodowej. Oryginał sprzed wojny. Nie była demonem szybkości i mieściły się w niej góra dwie osoby (trzy, jeśli były szczupłe, bez zakupów i nie miały nic przeciwko temu, żeby trochę się do siebie poprzytulać). Ale ażurowa kabina przesuwaną się majestatycznie w górę zawsze robiła na mnie wrażenie. Podobnie jak mieszkanie Beaty. Tylko dwa pokoje, ale to były dwa pokoje w starej kamienicy, więc na z okno osiemdziesiąt metrów.

Solenizantka otworzyła drzwi zdyszana i uśmiechnęła się promiennie, jakby tylko na mnie czekała.

– Kuba! – Zrzuciła mi ręce na szyję i pocałowała w usta. Pachniała tymiankiem i papryką.

Kiedy podałem jej prezent, odwijana go długo, delektując się oczekiwaniem.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba – szepnąłem jej do ucha. – Czekat na ciebie pięćset lat. A może nawet i osiemset.
– Serio? – uśmiechnęła się. I wydobyła go.

Nagle, w tym eleganckim mieszkaniu pierścień nie wyglądał tak imponująco, jak bym sobie tego życzył. Dość cienki, mimo polerowania jednak nieco zaśniedział, jakoś niczego nie urywał.

– Pierścień czarownicy – wyjaśniłem szybko, przyglądając się twarzy Beaty. Oglądała go uważnie, a ja pospiesznie opowiedziałem jej całą historię. No, może nie całą. Pomiąłem wypadek i śmierć Stefanii. To nie była opowieść dobra na urodziny.

Wreszcie zamilkłem i spojrzałem niepewnie.

– Nie wiedziałem, czy ci się spodoba.

– Co za niezwykła opowieść – szepnęła rozmarzonym głosem. – I naprawdę to prawdziwy pierścień czarownicy?

– Znane są tylko dwa takie, a drugi zaginął – chrząknąłem. – Więc to w dodatku unikat.

– Gdzie go znalazłeś?

– Och, długa historia. – Nie mogłem zdradzić, że po prostu wyświetlił mi się na aukcji internetowej. – Kiedyś ci opowiem.

– Jutro wieczorem? – zaproponowała, filuternie mrugając okiem. – Woląabym dziś, ale muszę robić za panią domu.

– Mam świetne wino musujące, polecane do opowieści o pierścieniach – uśmiechnąłem się.

Przejechała dłonią po moich włosach.

– Już nie mogę się doczekać.

– Ja również – zapewniłem ją i była to najszczerza prawda.

Urodziny były w porządku, jeśli was to interesuje. Jak to na imprezie, kilka osób nie mogło się powstrzymać, żeby nie pogadać o pracy. Maciek upił się po godzinie i Zuza, jego dziewczyna, odwiozła go Uberem. Poza tym plotek brak. Zmyłem się krótko po północy. Mrugnąłem do Beaty, ona pomachała mi lewą dłonią. Na najmniejszym palcu lśnił pierścień czarownicy.

– Pasuje idealnie, ale tylko na ten – uśmiechała się. – Mała jakaś była ta czarownica.

– Ale za to strasznie groźna.

To miał być żart. Ale jak to z żartami bywa, nie okazał się śmieszny.

*

Telefon zadzwonił bladym świtem. Zaspany, szukałem go z zamkniętymi oczami. Zerknąłem na zegarek. Siódma rano, w niedzielę?

– Kuba? Słyszalesz?

Nie wyświetliło się nazwisko dzwoniącego i dłuższą chwilę mi zajęło zidentyfikowanie go po głosie.

– Marcin? Pojebało cię? – wychrypiąłem. – Ty wiesz, która jest godzina.

– Słyszalesz, co się stało z Beatą?

– Co się miało stać? Dopiero co byłem u niej na imprezie.

– Kuba, ona wypadła z okna!

Jeśli kiedyś czytaliście, że bohater w jednej chwili wytrzeźwiał, to właśnie coś takiego mi się przydarzyło. Wytrzeźwiałem i obudziłem się w utamku sekundy.

– Jak to? – To nie była bardzo inteligentna uwaga, ale tylko na taką było mnie stać.

– Jacyś ludzie akurat wracali z imprezy i wszystko widzieli.

– Marcin, co ty mówisz? Może to nie ona? – Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, jak nedorzecznie musiało to

zabrzmieć.

- Jest identyfikacja z policji, prezes już wie. Choć podobno rzeczywiście trudno ją było rozpoznać, bo...

- Jezu, dosyć! - Zrobiło mi się niedobrze. Zacząłem szukać papierosa i dopiero po chwili zorientowałem się, że przecież rzuciłem dwa miesiące temu. - Wiadomo coś więcej? - zapytałem.

- Zdaje się, że po prostu nieszczęśliwy wypadek.

- Chtopie, widziałeś jej balkon?! - wybuchnąłem. - Kamienna barierka do piersi, trzeba by sobie stołek przynieść, żeby w ogóle się wychylić. Jaki wypadek?!

- No to może samobójstwo... - westchnął Marcin.

- Beata i samobójstwo? W życiu!

- Nie wiadomo, co ludziom w głowie siedzi - westchnął Marcin.

- Przestań pieprzyć.

- Dobrze już, dobrze - mruknął. - Chciałem cię po prostu zawiadomić, powtarzam, co słyszałem. Trzymaj się.

Odłożył słuchawkę, a ja wyciągnąłem szufladę biurka w nadziei, że może tam się kryje jakaś paczka papierosów. Po dziesięciu minutach poszukiwań dałem spokój. Siedziłem tępo, wpatrując się w ścianę i przypominając sobie nasze wczorajsze spotkanie. Beata radosna, tańcząca, chwalała się paellą, opowiadająca z ogniem w oczach o planowanym za miesiąc wyjeździe na Sycylię. No i umawiająca się ze mną na następny wieczór... To nie miało sensu.

W poniedziałek poszedłem do pracy jak zombie, powtarzając sobie, że to nie może być prawda. Ale oczywiście była.

Sekretarka Beaty, Julka wypatrzyła mnie na korytarzu i skinęła na mnie dłonią.

- Chodź Kuba, musisz z kimś porozmawiać.

Spojrzałem na nią pytająco, ale wzruszyła tylko ramionami.

- Policja, rutynowe pytania. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Potrząsnąłem głową.

- Ja też - przyznałem. - To się po prostu nie mieści.

Facet miał jakąś czterdziestkę i nie wyglądał jak glina. To znaczy nie jak klasyczny glina z kryminaltów. W kurtce bomberce, o numer za dużej czarnej bluzie, z tatuażami na dłoniach. Przez jeden z palców biegł napis „white power”.

- Tomasz Mazur - mruknął i podał mi dłoń, tę z „white power”. - Szybko to załatwimy.

Zamknął za nami drzwi małej salki konferencyjnej i wskazał krzesło naprzeciwko.

- Był pan na imprezie u Beaty Radeckiej? - spytał, kiedy już spisał moje personalia.

Potwierdziłem.

- O której opuścił pan mieszkanie?

Też mu powiedziałem. Nie miałem przecież nic do ukrycia.

- Czy cokolwiek wskazywało, żeby pani Beata była pod wpływem substancji psychoaktywnych?

- Ćwiczyła jogę, nawet nie paliła.

- Zachowywała się jakoś inaczej?

- Nie, była swobodna, radosna, umówiliśmy się na następny wieczór...

Teraz spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- Byli państwo razem?

- Nie mogę tak tego określić. Raczej...

- Lecił pan na nią. - To nie było pytanie.

- A nawet jeśli tak, to co? - To było głupie z mojej strony, obrona przez atak. Ale nie potrafiłem inaczej.

Popatrzył na mnie, ale nie skomentował.

– To pan zaproponował spotkanie?

– Nie, ona.

Nagle poczułem się jak sflaczały balon.

Policjant coś zanotował.

– Pracowali państwo razem. Jakieś nieporozumienia?

– Nie – zirytowałem się. – I cieszyłem się na to spotkanie, wie pan? Ona też!

Znowu nic nie powiedział. Tylko na mnie patrzył.

– Niemożliwe, żeby to było samobójstwo – brnąłem dalej. – Może ktoś ją popchnął..

– Wyjaśniamy okoliczności – westchnął zmęczonym tonem. – Ale mieszkanie było zamknięte, nikogo w środku. Może wypita o kieliszek za dużo.

– Beata nigdy nie piła o kieliszek za dużo! – podniosłem głos.

Mazur zmierzył mnie współczującym spojrzeniem.

– Żeby pan wiedział, jak często słyszę to zdanie. To wszystko, na razie. W razie czego odezwiemy się jeszcze.

Wyszedłem z sali jak ogluszony. Nie wyobrażałem sobie, że jakby nigdy nic usiądę za biurkiem. Nie pamiętam, co powiedziałem Julce, machnęła tylko ręką. Zdaje się, że nikt nie miał dziś głowy do pracy.

Przy wyjściu prawie wpadłem na Mazura.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział, grzebiąc w skoroszycie. Wyciągnął dużą fotografię i podał mi ją. – Poznaje pan to?

– Ten pierścień? – Patrzyłem prosto na powiększone zdjęcie pierścienia czarownicy.

– Wiadomo panu może, czy miał dla zmarłej jakąś szczególną wartość? Sentymentalną lub inną?

– Jaką inną?

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – Trzymała go w zaciśniętej dłoni.

– Uważa pan, że miał coś wspólnego z jej śmiercią? – zapytałem.

– Poznaje go pan?

Powoli pokręciłem głową. Nie miałem zamiaru się przyznawać. Ale oddałbym wiele, żeby się dowiedzieć, dlaczego Beata rzuciła się z balkonu, ściskając go w dłoni.

*

Nie wróciłem do domu. Wsiadłem do samochodu i pojechałem prosto do Brwinowa. Nawet się nie zastanawiałem, po co tam jadę. Więc kiedy stanąłem przed domkiem w bocznej uliczce, nie wiedziałem, co dalej. Dom był chyba jeszcze z lat siedemdziesiątych, zwykły klocek, tyle że otynkowany na biało, z zapuszczonym ogrodem przed wejściem. Siedziałem w samochodzie i myślałem, co powiedzieć Vellemanowi. A ten pierścień, który od pana kupiłem, to nie był przypadkiem przeklęty? Bo wie pan, moja przyjaciółka, która go dostała, nagle oszalała i rzuciła się z okna. Może pan to jakoś wyjaśnić? Facet zadzwoni na pogotowie albo na policję, zanim jeszcze zdążę się pożegnać.

Przez kwadrans nic nie wymyśliłem. W końcu postanowiłem zadzwonić do drzwi. Ale w środku najwyraźniej nikogo nie było. Dzwoniłem kilka razy, zajrzałem przez okno, ale nic nie zobaczyłem.

Zagryzłem wargi. A jak facet pojechał szukać innych znalezisk i wróci za tydzień?

Opartem się o klamkę i omal nie wylądowałem jak długi w korytarzu. Bo drzwi nie były zamknięte na klucz. Pozbierałem się, wszedłem do środka i szybko zamknąłem je za sobą.

– Halo, jest pan tu?! Kupiłem od pana pierścień na aukcji!

Odpowiedziała mi cisza.

Powoli poszedłem korytarzem wyłożonym boazerią, też z lat siedemdziesiątych. Dom sprawiał wrażenie trochę zaniedbanego, jakby lokator tylko pomieszkiwał tu na chwilę. Sporą część dużego pokoju zajmował stary stół, zastany papierami. Na środku leżała wojskowa mapa. Nie zwróciłbym na nią uwagi wśród tych papierzyśk, gdyby nie czerwony znak X w lewym rogu. Nazwy na mapie nic mi nie mówiły. Nawet wrzucone w Google, bo wyświetlało się ich zbyt wiele. Dopiero Szczekotary... Jedna, jedyna wioska w Polsce nosiła tę nazwę. Na Mazurach, niedaleko Szczytna. Zawahałem się moment i schowałem mapę do kieszeni.

Cała reszta rzeczy na stole najwyraźniej albo pochodziła z nielegalnej działalności, albo służyła do jej prowadzenia. Trochę starych artefaktów niewielkiej wartości. Tak przynajmniej mi się wydawało, skoro nie były ze złota ani srebra. Jakieś metalowe części, być może fragmenty broni, bagnet, niewątpliwie dwudziestowieczny, kilka monet, ale już na oko nowożytnych, kopiejki i ruble z dziewiętnastego wieku, trochę skorup, dzbanuszek ze szlaczkiem i utamanym uchem. Większość wyglądała jak śmiecie, ale dla znalazcy był to pewnie owoc długich poszukiwań. A zresztą, może te miseczki warte były fortunę?

A pod stołem leżał Velleman. Nie, nie facet, od którego kupiłem pierścień. Właśnie wtedy dowiedziałem się, że to nazwa firmy, która produkuje wykrywacze metali. Ten miał na obudowie jeszcze długi ciąg znaków i wyglądał bardzo profesjonalnie. Starożytne i nowożytne pierścienie, miecze, monety i inne żelastwo nie miały z nim szans. Velleman wyglądał też na kosztowny. Więc ten drugi Velleman, człowiek, nie sprzęt, musiał nieźle wyciągać na nielegalnych wykopaliskach. Podniosłem detektor. Rękojeść pasowała idealnie do mojej dłoni, jakby ktoś wykonał ją specjalnie dla mnie...

Coś stuknęło na górze. Szybko odłożyłem detektor. Przez chwilę zastanowiłem się, czy nie wyjść. Ale przecież nie robiłem nic złego. Szukałem gospodarza. Który pewnie gdzieś tam jest i nie usłyszał, jak wszedłem.

– Halo! – zawołałem więc jeszcze raz. – Halo! Dzień dobry!

Ruszyłem w stronę drewnianych schodów. Stopnie zatrzeszczały nieprzyjemnie pod moimi nogami.

– Halo! Drzwi były otwarte, więc pomyślałem...

Naprzeciwko schodów znajdowała się łazienka. Velleman chyba nie miał zwyczaju się w niej zamykać, skoro mieszkał sam. Dlatego od razu zobaczyłem nagie ciało na kafelkach.

Próbowałem przetknąć ślinę, ale gardło miałem suche jak drewno, z którego zrobione były trzeszczące schody. Podszedłem bliżej.

Velleman nie żył. Żaden człowiek nie może żyć z głową odwróconą do tyłu nieomal o sto osiemdziesiąt stopni. Musiał się poślizgnąć, przewrócić i skrócić kark. Koło wanny na podłodze zobaczyłem kostkę mydła, a obok niej rozmazaną smugę. Co za głupia śmierć, przyszło mi do głowy. Jeśli śmierć w ogóle bywa mądra...

Uchylone okienko łazienki stuknęło w rytm podmuchów wiatru. Pomyślałem przez sekundę, że powinienem je zamknąć, a potem, że nie mogę niczego dotykać. Że muszę stąd jak najszybciej wyjść...

Ktoś zapukał do drzwi.

Nie mogłem udawać, że mnie nie ma. Za długo stałem przed domem, widzieli mnie pewnie mnóstwo ludzi. W takich małych miasteczkach wszyscy się nawzajem obserwują. Zbiegłem ze schodów, otworzyłem. Na progu stała elegancka starsza pani, w żakiecie modnym pół wieku wcześniej, ale ze starannie utożoną fryzurą.

– No dobrze mi się wydawało, że ktoś jest w środku. Pan jest przyjacielem Sebastiana?

– Eeee, tak – skłamałem. Sebastian to pewnie Velleman. – Właściwie tak. Trochę, bardziej takim znajomym.

Niepotrzebnie się tłumaczyłem. Starszą panią najwyraźniej bardziej interesowało coś innego.

– A Sebastiana nie ma?

Pokręciłem głową. Tak było łatwiej, niż otwarcie kłamać.

– Pewnie znowu wyjechał – domyśliła się starsza pani. – Ciągłe jeździ po lasach z tym drugim. Pawełek mu chyba... A tu

policja dzisiaj była.

- Policja... - znowu ledwo mogłem wydobyć głos, tak suche miałem gardło.

- To pan nic nie wie? - Przysiągłbym, że niemal się ucieszyła, że może mi powiedzieć nowinę. - Ten Pawełek nie żyje, wczoraj biedak miał wypadek. Policja przysłała wypytać Sebastiana, oni tak się przyjaźnili...

- Wypadek? Samochodowy? - Nie wiedziałem, co innego powiedzieć.

- Nie, na motorze jechał - westchnęła starsza pani. - Na prostej drodze. Pewnie mu coś wyskoczyło. Teraz dziki się pojawiły, wie pan? Mówią, że niegroźne, ale jak nagle taki z lasu wylezie i człowieka przestraszy, to... No właśnie. Na miejscu, mówię panu, na miejscu.

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz.

- A Sebastian to jakiś niespokojny był ostatnio - ciągnęła starsza pani, zadowolona, że ma słuchacza. - Ze dwa dni temu powiedziałam mu „dzień dobry”, a on mało nie zemdlął. A jak przyszedł zapytać, czy nie mam święconej wody, to się mocno zdziwiłam.

Ja też.

- Po co mu była święcona woda?

- O to samo go zapytałam. A on mi na to, że po prostu chciałby mieć tradycję w domu. Ale rozglądał się tak na boki, dziwnie. Zapytałam, czemu do kościoła nie pójdzie i księdza nie poprosi, to mi na to nic nie odpowiedział, wie pan.

- I dała pani?

- Sąsiadowi miałam nie dać?

Wyglądała na oburzoną. I naprawdę wścibską. Taką, co wszystko wiedziała o sąsiadach. Postanowiłem strzelać.

- A opowiadał może coś o swoich znaleziskach?

- Opowiadać, to nie, ale wiem, że po lasach z tymi wykrywaczami latali z tym Pawełkiem. Te sztylety znajdował, hełmy z wojny, guzik, i takie tam. Na targu staroci podobno dobrze sprzedawali i jakoś z tego żyli. Ale mówiłam mu, że to niebezpieczny fach, no bo niech pan sam powie. A jak tam pod ziemią niewybuch jakiś będzie?

Nie odpowiedziałem na to pytanie, zresztą retoryczne. Tylko uśmiechnąłem się i naprawdę kosztowało mnie to wiele wysiłku.

- A pan to niech uważa na siebie - dodała jeszcze.

Już to styszałem. Niedawno.

- Przepraszam - wychrypiałem. I zamknąłem jej drzwi przed nosem.

Niegrzecznie, wiem. Ale nie byłem w stanie wydusić więcej. Starsza pani powiedziała jeszcze coś, wcale nie cicho, o niewychowanych młodzieńcach, ale wiecie, gdzie to miałem?

Wiedziałem, że zadzwoni na policję i powie, że obcy się tu kręci. Wyglądała na taką. To też miałem gdzieś. Zwinąłem się minutę po tym, jak sobie poszła. Oprócz mapy zabrałem z domu Vellemana jeszcze jedną rzecz, której dotykałem.

*

Dojechałem dopiero po piętnastej, pogubiłem się w wąskich drózkach, które na GPS wyglądały identycznie, a potem rozpyły się nagle i zniknęły w polu. Dopiero trzecia czy czwarta z kolei okazała się tą właściwą.

Nagle przede mną pojawił się drogowskaz. Wcisnąłem mocno hamulec i siedziałem przez dłuższą chwilę, wpatrując się w niego z niedowierzaniem.

Stachowo - jeden kilometr w prawo. Szczekotary - jeden kilometr prosto.

Czy to właśnie w tym Stachowie prowadził wykopaliska doktor Rabe?, przemknęło mi przez głowę.

Minąłem chylącą się tablicę z nazwą miejscowości. Kilka starych domów, na oko niezamieszkałych i ze dwie dachy – też bez lokatorów. Zatrzymałem się przed kapliczką zaznaczoną na mapie. Było stąd około pół kilometra do miejsca zaznaczonego czerwonym iksem.

Zawahałem się i wyjąłem z bagażnika saperkę, którą woziłem zawsze, po tym, jak raz się zakopałem, kiedy próbowałem zawrócić na wąskiej drodze koło pola. I Vellemana. Nie faceta, wykrywacz metalu. Nie miałem pojęcia, jak go obstugiwać, ale teraz projektują wszystko dla idiotów. Przetawiałem po prostu główną dźwignię na ON i ruszyłem przed siebie.

Po dziesięciu minutach byłem na miejscu. Kępa drzew, zaznaczona na mapie, okazała się właściwie małym laskiem. Wciągnąłem głęboko powietrze w płuca. To był piękny dzień, słońce, zero wiatru. Przez sekundę nawet pozazdrościłem Vellemanowi, że tak sobie spacerował z tym wykrywaczem. Ale po sekundzie otrzeźwiałem. Ruszyłem przed siebie.

Nie musiałem iść daleko. Pomiędzy drzewami coś się pojawiło, coś ciemnego. Najpierw pomyślałem, że ktoś tam stoi, jakiś człowiek, ale mrugnąłem i złudzenie się ulotniło. To nie był człowiek, tylko kamień. Wysoki, wąski, postawiony na sztorc. Dziwne, nigdy czegoś takiego nie widziałam. Ale nieczęsto łązę po lasach.

Podszedłem bliżej. Spojrzałem jeszcze na mapę, ale niepotrzebnie, świeżo poruszona ziemia przy kamieniu nie pozostawia wątpliwości. Zatoczyłem krąg końcówką detektora. Rozdzwonił się od razu.

Odłożyłem wykrywacz, chwyciłem saperkę. Po dwóch minutach coś zazgrzytało pod ostrzem. Zacząłem rozgarniać piasek dłońmi. Pamiętałem jeszcze, co mówiła Stefania, że zabytki należy wykopywać delikatnie. Pamiętałem też, co mówiła o niszczeniu stanowisk przez ludzi z wykrywaczami, ale w tej chwili naprawdę mnie to nie obchodziło.

Coś błysnęło pod moimi palcami. Delikatnie odgarnąłem ostatnią warstewkę ziemi. Sierp. A więc to naprawdę było to miejsce.

Tylko że ten sierp nie tkwił, jak to mówił Velleman (nie potrafiłem myśleć o nim Sebastian) na gardle czarownicy. Leżał porzucony w piasku, a pod spodem nie było żadnych kości.

Podniosłem sierp i dokładnie obejrzałem. Ten ślad złamania musiał być świeży, najdalej sprzed kilku dni.

W słońcu zamigotało jeszcze coś. Schyliłem się i ująłem w palce srebrne ogniwo łańcucha. Było rozerwane...

Nie poczułem, nawet kiedy zerwał się wiatr. Z każdą sekundą przybierał na sile, po chwili w lesie szalało prawdziwe tornado. Gałęzie chłostały mnie po twarzy i ramionach, nie mogłem nawet stanąć prosto. Opadłem na kolana, skuliłem się. I wtedy ją usłyszałem.

Miała melodyjny głos, nabrzmiała obietnicą. Obiecywał stawę i bogactwo i spełnienie wszystkich pragnień, nawet tych, które nie zdążyły się jeszcze pojawić.

Więc oczywiście, poszedłem za nią. Tak, też czytałem te wszystkie opowiadania i widziałem te wszystkie filmy. Ale sami rozumiecie, czasami bohater po prostu nie może inaczej, tylko pójść tam, skąd wie, że nie wróci.

Wiadomości Warmińskie, wydanie z 18 września 2022 roku

Wiadomości lokalne. Kronika wypadków.

Wczoraj w lesie niedaleko Szczytna przypadkowy grzybiarz znalazł ciało mężczyzny. Okazał się nim Jakub Z., pracownik dużej warszawskiej firmy. Policja wykluczyła zabójstwo. Mężczyzna zginął prawdopodobnie przywalony konarem padającego drzewa w czasie burzy, która niespodziewanie rozpętała się w ubiegły poniedziałek. Przypominamy o zmiennych warunkach pogodowych i unikaniu drzew w czasie wichur i burz.